

AGNIESZKA MAJCHRZAK

DOBIECHNA



DOBIECHNA

Agnieszka Majchrzak

DOBIECHNA



Redakcja i korekta: Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”
Skład i projekt okładki: Bartosz Buda

Copyright© „Drzewo Laurowe” & Agnieszka Majchrzak, 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabronione jest powielanie i rozpowszechnianie za pomocą dowolnych środków, w tym kopiowanie, reprodukcja czy odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki na wszelkich polach eksploatacji bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or part in any form.

Wydanie I
Zielona Góra 2010
ISBN: 978-83-62468-03-4

Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”
Zielona Góra
Księgarnia Internetowa „Skryby”
e-mail: redakcja@skryby.pl
www.skryby.pl



amiętała, że kiedyś miała inne imię. Inne niż „Dziewczynka”. Ale w tej chwili nie wiedziała już jakie. Nie wiedziała z jakiego dokładnie plemienia pochodziła, musiała być jednak Łędzianką, bo władała tym samym językiem. Wiedziała tylko, że odkąd pamięta zawsze była głodna, choć kiedyś głód nie był aż tak dotkliwy jak w tej chwili. Pamiętała też zapachy. Zapachy kojarzyły się z rumianymi kołaczami, które były miękkie i których nie trzeba było przed połknięciem przeżuwać tak długo, aż bolała szczęka. I kolana kobiety. To też pamiętała. Kolana, zakryte długą spódnicą, której trzymała się jako dziecko. Twarzy nie była już w stanie sobie przypomnieć.

Na początku próbowała uciekać. Wiele razy. Zawsze gubiła się w przeogromnym lesie. Była jednak pewna, że ta puszcza musi mieć swój koniec, bo wciąż miała przed oczyma wspomnienia bezkresnej przestrzeni i słońca, które wyglądało jak wielki jasnożółty krąg. Nie można było patrzeć na nie bez zmrużenia powiek. Nie tak, jak tutaj, gdzie światło wpadające w głąb lasu wyglądało jak rozmyta seledynowa mgła, z trudem przedzierająca się przez gąszcz liści.

Nigdy nie udało jej się odejść zbyt daleko, zawsze miała wrażenie, że wciąż wraca w to samo miejsce. Potem pojawiała się ONA. Znajdowała ją za każdym razem. Wyłaniała się nagle z mroku drzew, zazwyczaj późnym wieczorem. Była niewiele wyższa, okutana w podarte szmaty, z kapturem naciągniętym głęboko na oczy. Musiała

być stara. Wtedy nie znała jeszcze jej twarzy. I choć rozmiarem i siłą mogła jej dorównać, nie była w stanie uciekać dalej ani przeciwstawić się spojrzeniu oczu, które jarzyły się niezdrowym blaskiem spod kaptura. Jak bezwolna kukielka pociągana za sznurki szła spokojnie za nią w głąb puszczy, daleko, daleko aż docierały do starej lepianki, z której nieodmiennie sączył się wąską nitką dym o gryzącym zapachu.

Dziewczynka wiedziała, że ONA jest bardzo niezadowolona, gdy próbuje uciekać, nigdy jednak nie wymierzyła za to żadnej kary. Po prostu zabierała ją z powrotem w to samo miejsce.



Dobiechna przyglądała się swojemu odbiciu w rzece przepływającej obok osady. Odbijały się w niej ostro zakończone słupy palisady otaczającej siedlisko plemienia, fragment błękitnego nieba i jej postać siedzącą na kamieniu. Uśmiechnęła się radośnie do lustra wody. Była bardzo piękną dziewczynką. Rumiana buzia, pełna i krągła, w domostwie nie brakowało mleka i miodu. Wiatr rozsypywał niedawno podcięte jasne włosy. Pierwsze postrzyżyny – nareszcie dostała nowe imię: Dobiesława. Podobało jej się ono niezmiernie i miało przynieść szczęście w życiu. Poprzednie imię – Niemiła, służyło do odstraszenia duchów, które zewsząd czaiły się na niepilnowane dzieci. Ale teraz była prawie dorosła. Skończyła siedem lat i może czuć się bezpieczna. Okres dzieciństwa bezpowrotnie minął, wszystkie niebezpieczne mary nie miały prawa dłużej jej niepokoić.



Któregoś dnia przestała uciekać. Nie miało to żadnego sensu. Powoli przyzwyczajała się do takiego życia. Potworny, ssący głód zdawał się zanikać. Nie próbowała już zjadać łapczywie jagód ani malin leśnych. Wiedziała, że ONA będzie wtedy tak długo cisnąć ją kościstą dłonią na żołądek, aż wszystkiego nie zwróci. Nauczyła się sprawnie przeżuwać gorzkie i twarde korzonki. Oczy przyzwyczały się do panującego zawsze w głębi lasu półmroku. Otwarte przestrzenie pełne słońca nie były jej więcej potrzebne. Cokolwiek istniało przedtem, nie miało już żadnego znaczenia, o ile rzeczywiście było jakieś przedtem. Czasem zdawało jej się, że wspomnienia są tylko częścią snów, które prześladowały ją każdej nocy. Dziwne twarze stworzeń niepodobnych do ludzi, ni zwierząt, kolorowe wirujące kręgi zacieśniające się w pętle, wielkie rumiane bochenki, o których wiedziała, że służą do jedzenia.

I jeden wciąż powracający motyw: „Jutro skończysz siedem lat – mówi kobieta, której twarzy nie pamięta, ale mocno przytula się do jej kolan. – Będiesz dużą dziewczynką i dostaniesz własne imię. Zaprosiliśmy mnóstwo gości i niczego nie zabraknie na naszym stole”. – Sen jest przyjemny i wywołuje dawno zapomniane uczucia. Dziewczynka uśmiecha się, wciśnięta w stertę skór w cuchnącej lepiance. Potem nastrój zaczyna gwałtownie się zmieniać. Kobieta we śnie dotyka jej długich rudych włosów i coś do niej szepcze, ale ona już tego nie słyszy. Słyszy za to skrzeczący, gardłowy głos dobiegający zza pleców. Głos karze jej przyjść, wie o tym, choć nie rozumie dziwnie artykułowanych dźwięków wydobywających się spod ciemnego kaptura. Odwraca się gwałtownie i widzi małą postać odzianą w porwane szmaty z osłoniętą twarzą. Zaczyna drzeć ze strachu i próbuje ze wszystkich sił się obudzić. Ale sen uparcie trwa, a dziewczynka wie dokładnie, co będzie dalej, tak jak wie, co jest za zakrętem, który mijają codziennie idąc tą samą drogą. Kobieta, która mocno przytula ją do kolan, zaciska kurczowo ręce na jej ra